Rok 1894. We Lwowie, Poniedziałek dnia 14. Maja Nr. 19

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Kossowskiego.*

Motyle (Les papillons).

(Théophile Gautier).

Snieżnej białości motyle,
Lecą rojem nad morzami...
O gdybym mógł choć przez chwilę
Tak polecić razem z wami!
Czy wiesz, bajaderko moja,
Z oczami przeźroczystemi
Czy ty wiesz gdziebym się udał,
Gdybym mógł polecieć z niemi?
Omijając nawet róże,
Płynąłbym nad dolinami,
Ku twym ustom wpół otwartym,
I skonał bym nad ustami.

T. H.

Antka.

SZKIC.

Miała lat szesnaście.

Pod szerokim łukiem jej brwi świeciły oczy blade jak jesienne niebo, Długie, złociste włosy splatała w dwa cienkie warkocze. Miała płeć śniadą, usta grube szyję cienką, kształty słabo rozwinięte. Była wysoką i chudą. Mówiła szybko i głośno. Chodziła zwykle nieco pochylona z wzrokiem upornie wlepionym w ziemię. Gdy czuła się samotną, płakała długo, trzymając głowę w dłoniach.

Bo i jakże nie miała płakać? Matka niemowlęciem ją odumarła. Ojciec, odkąd go zapamiętała, chorował na oczy. Chodził do miasta, radził się lekarzy, aż ociemniał zupełnie. Do ślepoty przyłączyła się i słabość całego ciała, bo też starym był prawie, gdy się ożenił. Grunt jeszcze oboje rodzicę stracili a stary, dokąd mógł, pracował we dworze i na gruntach pańskich. Gdy ociemniał i osłabł zupełnie, przyszło Antce pracować na siebie i ojca. Chodziła więc do wsi, skupywała mleko i nabiał, który sprzedawała w mieście z korzyścią. Zbierała też na polach i w lesie kwiaty, jagody, grzyby. W zimie gorzej było.

Ojciec stary był i zrzęda. Zdarzyło się nie raz, że Antka dłużej w mieście zabawi na targu, lub gdzieś w lesie zamyśli się pod drzewem. Gdy wróciła do chałupy, stary łajał ją, ile sił starczyło, narzekał na świat i życie, łażąc jak cień za Antką. Zwyczajnie, jak stary i znękany. Antka twardą jakąś miała naturę. Milczała zacięcie jak kamień, a gdy stary się uciszył i położywszy się usnął, płakała, siedząc na przyzbie przed chatą. Matki nie pamiętała, ale przecież myślała o niej często. Nieraz śniła się jej nawet jakaś kobieta o bardzo łagodnym wyrazie twarzy, która zwykle płakała nad nią tak, że Antka czuła wyraźnie, jak dwie wielkie, gorące łzy palą jej czoło i policzki. A i ona płakać lubiła. Często wypłacze się długo i znów raźna i skora do pracy.

Przed chałupą był kawałek gruntu, który został przy ojcu Antki. Był on mały i leżał przy drodze prowadzącej do wielkiego gościńca. Antka ogrodziła go opłotkami, skopała ziemię i posiała nasienie. Przed kilku laty mieszkał we dworze ogrodnik z miasta, który urządzał rabaty w pańskim ogrodzie i siał rzadkie kwiaty. Widząc, jak Antka pomagająca mu przy robocie, ciekawie przypatrywała się różnym nasionkom, jakie miał w papierowych torebkach, dał jej z każdej po kilka i powiedział, jak ma je posiać i z kwiatami się obchodzić. Antka posadziła je niebawem i w jesieni miała już kilka grządek malw, astrów, georginij i innych kwiatów. Robiła z nich śliczne bukiety, które w mieście rozchwytywano. W święto Matki Boskiej Zielnej przynosiła najpiękniejszy wianek do kościoła. Gdy zima minęła, sadziła inne nasionka. Z sąsiednich wsi przychodziły do niej dziewczęta po kwiaty na wesele lub zabawę. Grunt był odsłoniony na działanie słońca. Stąd kwiaty rozwinęły się bardzo piękne.

Pracowała zatem Antka na siebie i ojca. Pusto i niedostatnio było w chałupie w obejściu, ale każdego dnia miał stary łyżkę strawy, a i odzieży na święty dzień w skrzyni nie zabrakło. Pracowała zaś Antka od rana do wieczora. Od urodzenia słaba była i dosyć wątła, a w dzieciństwie baby nie przepowiadały jej długiego życia. Ale nie umarła przecież i rosła, choć w chachie nieraz zimno było jak na polu, a ziemniaki służyły za pokarm całe miesiące. Gdy zaczęła dorastać a stary osłabł zupełnie, poznała, że musi teraz pracować za dwoje ludzi. Ludzie mało jej okazywali litości, odsuwając się od niej i ojca, który dawniej za lepszych czasów nie jednemu gospodarzowi w biedzie dopomógł. Została sama na świecie, a w obejściu z ludźmi była dosyć opryskliwą i niedostępną. Od roku może jednak czuła, że podczas większych robót w domu lub we dworze, ręce jej jakoś prędko mdleją, a ciało całe zlewa pot zimny. Ale widząc, jak inne dziewki pracowały bez wytchnienia, nie ustawała w robocie, aż wyczepana i bez mocy prawie w ciele siadała pod ścianą, oddychając ciężko. Kaszlała też mocno i długo, a w

piersiach kłuło ją coś wtedy, tak, jakby jej kto stalowe szpilki między żebra wtykał. Niekiedy uczuła też dziwne drżenie ręką, ale tylko krótko.

Gdy się zaczęły szarugi jesienne, a wkrótce potem mrozy i śnieżyce, zauważyła, iż kaszel męczy ją częściej, a przy pracy w obejściach dworskich, która w tej porze roku stanowiła główne źródło jej zarobku, dostaje mocnych wypieków na twarzy. W całem ciele uczuwała też nierzadko silną gorączkę. Schudła także znacznie i nabrała od jakiegoś czasu pociągu do nieustannego płaczu. Ustanie na chwilę przy robocie, siądzie gdzie w kącie i płacze ot tak bez przyczyny. Ale łzy ukrywała przed ludźmi, bo nieraz śmieli się z niej, czego im przebaczyć nie mogła. Stała się też dziwnie skryta i bojaźliwą, ojca nie lubiła, bo ją łajał zawsze, i z niczem mu się nie zwierzała, choć dbała bardzo o jego wygody.

Wróciwszy zmęczona z roboty, siadywała po wieczerzy na przyzpie przed chałupą, gdy wieczór był mniej chłodny i pogodny, i dumała. Lubiła wtedy patrzeć w ciemny strop nieba iskrzącem się milionem świateł, lub śledziła bacznie kierunek spadającej gwiazdy. Gdy noc była księżycowa i cała okolica nurzała się w świetlanej powodzi miesięcznej, spoglądała z zajęciem na srebną twarz cichego wędrownika niebieskiego, myśląc o dniu, który przeżyła świeżo, o pracy jutrzejszej, o ojcu, który zasypia gdzieś w izbie, o matce, której gdzieś tam wysoko nad gwiazdami u Boga bardzo jest dobrze. Gdy tedy siedziała tak milcząca a bezlistne konary drzew sadów szumiały cicho, słyszała jak w drzwiach niedaleko stojącej chaty ukazywała się smukła, wysoka postać w białej sukmanie i wolnym krokiem zbliżała się do płotków ogródka Antki. Po chwili odzywał się w cieniu wieczoru cichy, przytłumiony nieco głos. Ktoś wołał ją po imieniu z razu ciszej, potem głośniej, gdy się mocniej zadumała:

Antka!

Ona zwyczajnie myślała czas jakiś ot tak bez powodu. Dopiero po niejakim czasie urywane pytania i odpowiedzi, wieczorny gość podchodził nieco bliżej i siadłszy gdzieś na płocie, patrzał na Antkę jak w tęczę. Był to Stach, syn zamożnej gospodyni, pracowity jak Antka, ale także jak i ona nieśmiały i małomowny. Znali się od dzieciństwa i lubili bardzo.

Czy się kochali? Może tak, może i nie. Czy to pod strzechą kochają się tak, jak w murowanych dworach, lub w mieście? Pasali razem gęsi, potem krowy na wielkiem pastwisku gminnem i zaprzyjaźnili się bardzo Lubili tedy siedzieć gdzieś blisko siebie na zielonej murawie, nucąc zwykle jakąś piosnkę dziką, jak ich natury albo też wesołą jak złociste łany zbóż i jaśniejące tęczowej barwy kwieciem łąki, które kąpały się naokoło nich w świetlanych blaskach słońca. Nad nimi unosił się wielki, niezmierzony strop nieba, który wczesnym rankiem barwiły zorze, południe złocił potop światłości słonecznej wieczorem rumieniła purpurowa łuna zachodu. Siedzieli więc oboje w cieniu jakiegoś drzewa gwarząc o czemś ustawicznie, lub budująą z niemałem trudem z kilku drewnianych deseczek złożony tartak wodny na strumieni, który szemrząc po kamykach rozbijał się w tysiące skier srebnych na każdym upadku lub przeszkodzie.

Stach najczęściej strugał drzewka do budowy tartaku, podczas gdy Antka drzemiąc na jego kolanach zatapiała swe oczy w złotawo modry strop nieba. W około było cicho, jasno, świetlanie. W pobliżu krowy szczypały leniwo trawę, przypatrując się niekiedy swymi wielkimi oczyma obojgu małym pastuszkom.

(Dokończenie nastąpi.)

L. T Grabowski.

Mark Twain.

„TOM SAWYER W PODRÓŻY“.

Pod tytułem „Tom Sawyer w podróży“ głośny humorysta amerykański, Mark Twain, ogłosił dalszy ciąg „Toma Sawyer“ i „Przygód i wypraw Hucklebherry Finn“. Czytelnikom tych dzieł Twaina wiadomo, iż autor opisuje w nich szalone figle swych bohaterów, a razem z niemi i własne. Otóż „Tom Sawyer“ z dwoma swymi towarzyszami „Huck-Finnem“ i małym negrem Jimem wyruszył na nową wyprawę, o której Mark Twain w książce „Tom Sawyer“ w podróży“ opowiada w sposób pełen niezrównanego humoru, a raczej Huck Finnowi opowiadać każe za siebie. Pewnego dnia Tom Sawyer przeczytał w gazecie, wydanej w St. Louis, iż jakiś na pół obłąkany dziwak wynalazł balon, którym zamierza pożeglować do Europy. Tom Sawyer z dwoma towarzyszami udał się bliżej obejrzeć wynalazek i w chwili, gdy wszyscy trzej znajznajdowali się w łódce balonu, wynalazca na cisnął guzik i w mgnieniu oka całe towarzystwo szybowało już po nad miastem. Straszna nastąpiła noc. Wynalazca w napadzie obłędu wyskoczył z łódki i utonął, a Tom Sawyer wraz z towarzyszami ujrzał się w posiadaniu balonu, obdarzonego tajemniczemi siłami. Jako rozgarnięci chłopcy, prędko zaznajomili się ze sztuką sterowania i zadowoleni z siebie popędzili w stronę Afryki. Doświadczyli, naturalnie niemało przygód najdziwniejszych, zanim, wzbogaceni doświadczeniem, powrócili szczęśliwie do rodzinnego kraju, gdzie Tom Sawyer, otoczony powszechnym szacunkiew, otrzymał przydomek „aeronauty“.

W przedostatnim rozdziale książki trzej awanturnicy dojeżdżają balonem do Piramid, zostawiają Jima na głowie sfinksa, żeby zatknął sztandar amerykański, a we dwóch unoszą się znów w górę, by zaznajomić się z okolicą. Po chwili ukazują się egipcjanie i nie mogąc Jima ściągnąć ze sfinksa, chcą go na nim zastrzelić. Mały negr kładzie się na brzuchu w ten sposób, iż kule z dołu nie mogą mu uczynić żadnej krzywdy. Egipcjanie próbują z kolei drabin, lecz w chwili największego niebezpieczeństwa śpieszą z pomocą małemu Jimowi dwaj towarzysze i zabierają go do balonu.

Teraz należy posłuchać, jak o tem wszystkiem opowiada „Huck Finn".

Tom był bardzo markotny i pytał Jima, dlaczego nie pokazał egipcjanom flagi i w imieniu Stanów Zjednoczonych nie wezwał do poddania się? Jim odrzekł, iż uczynił to, ale nie zważano wcale na jego słowa. Tom wobec tego oświadczył, iż całą sprawę przedstawi w Waszyngtonie.

— Zobaczycie, że za zniewagę flagi będą musieli dać zadośćuczynienie i wypłacić odszkodowanie.

Jim na to:

— Co to znaczy zniewaga, Mars Tom?

— To są pieniądze.

— Kto je otrzyma, Mars Tom?

— Naturalnie — my.

— A kto otrzyma zadośćuczynienie?

— Stany Zjednoczone, a zresztą możemy to tak pokierować, jak nam będzie dogodniej Jeżeli zechcemy, przyjmiemy zadośćuczynienie sami, a rządowi odstąpimy pieniądze.

— Ile to może być pieniędzy, Mars Tom?

— Well, w takim poważnym wypadku, jak obecny, powinno być po trzy dolary na głowę, jeżeli nie więcej...

— W takim razie weźmy pieniądze, Mars Tom, a rządowi pozostawmy zadośćuczynienie. Czy nie jesteś mego zdania? I ty także Huck?

Omówiwszy tę kwestję, zgodziliśmy się wszyscy na propozycję Jima. Był to dla mnie zupełnie nowy interes i zapytałem Toma czy rozmaite kraje zawsze dają zadośćuczynienie, gdy popełnią coś złego.

— Tak, te mniejsze dają...

Pożeglowaliśmy znów do piramid i opuściliśmy się na wierzch najwyższej. Tu mieliśmy sposobność sprawdzić, iż wszystko wyglądało tak, jak opowiadał nasz nauczyciel w szkole. Tom oświadczył, iż czuje się szczęśliwy, że mógł znaleźć się na tak sławnem miejscu i zaledwie może wierzyć, że stoi na tym samym punkcie na który dowiózł księcia koń bronzowy. Dodał, iż wiadomo mu o tem z „Powieści arabskich". Ktoś podarował kiedyś jakiemuś księciu bronzowego konia, z osią na grzbiecie. Książę mógł na nim latać jak ptak, gdzie tylko chciał, niżej lub wyżej i za pomocą osi kierować dowolnie.

— Gdy Tom to mówił, zrobiła się wielka cisza, która jak wiadomo, bywa zawsze, kiedy jedna z osób popełni wielkie kłamstwo, a my smucimy się za nią i staramy się wszelkiemi sposobami zmienić przedmiot rozmowy, chociaż on się zwykle nie udaje.

Ja byłem zdumiony i Jim był zdumiony i żaden z nas nie był w stanie słowa przemówić.

Jim ocknął się trochę prędzej z odrętwienia i rzekł:

— Co sądzisz o tem?

Ja na to:

— Tomie Sawyer! sam nie wierzysz temu, co opowiadasz.

— Dlaczego nie miałbym wierzyć?

— Bo to stać się nie mogło.

— Dlaczegoż więc stać się mogło?

— Ten balon, mojem zdaniem, jest dostatecznem świadectwem, że stać się mogło.

— Dlaczego jest dostatecznem świadectwem?

— Dlaczego? Czy ten balon i bronzowy koń nie są w gruncie rzeczy jednem i tem samem?

— Nie, tak nie jest. Co innego balon, a co innego koń. Między niemi duża różnica. Nie długo może będziesz utrzymywał że dom i krowa to także wszystko jedno.

— Huck, bądźże trochę rozsądniejszy. Dom nigdy nie może być krową, a krowa nie ma nic wspólnego z domem.

— Jim, nie wiesz sam, co mówisz i Huck nie wie także. Uważaj, Huck, ja ci to wytłómaczę tak, iż zrozumiesz. Nie forma decyduje o podobieństwie, lecz zasada, a zasada w obu rzeczach jest jednakowa. Czy rozumiesz?

Pomyślałem nad tem i zapytałem:

— Tom, nic ci się to nie przyda! Zasady są bardzo dobre, ale nie mogą one uchylić faktu iż co można dokonać za pomocą balonu, tego nie potrafi zrobić koń.

— Huck, ty mnie ciągle nie rozumiesz! Uważaj tylko, bo to jasne i proste. Czy teraz lecimy w powietrzu?

— Tak.

— Czy możemy obierać kierunek, jaki się nam podoba?

— Tak.

— I możemy wylądować gdzie chcemy?

— Tak.

— Jak poruszamy i kierujemy balonem?

— Przez naciśnienie guzika.

— Teraz, jak mniemam, będziesz w stanie zrozumieć. W bronzowym koniu kierunek nadaje się za pomocą obrotu osi. My naciskamy guzik, książę obraca oś. Wiedziałem, że w końcu pomieści się to w twej głowie.

I czuł się tak zadowolonym, że zaczął gwizdać, lecz gdy obaj z Jimem milczeliśmy ciągle zawołał zdziwiony:

— A więc, Jim, rozumiesz teraz?

— Tomie Sawyer — rzekłem — chciałbym ci zadać parę pytań.

— Mów prędzej...

— Jeżeli dobrze rozumiem, wszystko polega na guziku i na osi — reszta nie ma znaczenia. Guzik stanowi jedną formę, a oś drugą, ale to niema nic do rzeczy.

— To nie ma nic do rzeczy, dopóki posiadają jednakową siłę

— All right, jaką siłę posiada świeca i zapałka?

— To jest ogień.

— Taki sam w jednej i w drugiej?

— Zupełnie taki sam.

— All right. Jeżeli jest to taki sam ogień, dlaczego pali się warsztat, a nie pali się piramida?

— Bo piramida nie może się palić.

— Aha, więc i koń nie może latać.

Jim dusił się ze śmiechu, aż nogi pod się nim uginały, a Tom był mocno zmieniony tem, że jego własnych argumentów użyłem przeciwko niemu. Ale ja nie dodałem nic więcej, chociaż byłem wielce zadowolony z siebie. Jeżeli kogo w ten sposób zmogę w dyspucie, mam zawsze zwyczaj nigdy się z niego nie natrząsać, gdyż przypuszczam, iż będąc na jego miejscu, także nie życzyłbym sobie, by bawiono się moim kosztem. Lepiej być szlachetnym — takie moje zdanie.

Pogadanka majowa.

Tradycja każe mówić w maju o słowikach i miłości. Ponieważ zaś na miljard małżeństw jedno zawierane bywa z miłości, pozwólcie, iż pomówimy tym razem o małżeństwie, aby choć w jednej miljardowej części uczynić tradycji zadość.

— Być żonatym: to sztuka czy też nauka?

— Niewielka sztuka i niewielka nauka.

Tak odpowiedzą bez wątpienia kawalerowie, znający małżeństwo i jego sprawy tylko jako teorytycy, dyletanci lub — turyści. Tak, może odpowiedzą wczoraj dopiero zaślubieni małżonkowie.

Zmiłujcie się, ludzie! Jeżeli być żonatym nie jest sztuką, to ani rzeźba, ani malarstwo, ani muzyka nie jest sztuką.

Zapytajcie profana, co to jest sztuka.

Odpowie wam może:

— Bierze się ogromną bryłę marmuru, odrzuca się niepotrzebne kawałki i... rzeźba gotowa, czy to będzie Minerwa, czy Apollo Belwederski, czy Wenus, Milo, czy Psyche.

Na taką odpowiedź rzeźbiarz bez wątpienia wzruszy ramionami. Podobnież wzruszą ramionami małżonkowie doświadczeni, którym profan powie, że małżeństwo nie jest sztuką ani nauką. Na zapytanie odpowiedzą oni bez wahania.

— O, tak... Małżeństwo to wielka sztuka i poważna nauka.

Ożenić się, zgoda, nie jest sztuką. Sztuką za to jest: nie żenić się. Gdyby Herkulesowi kazano nie żenić się, nie podołałby zadaniu, choć prace wiekopomne wykonywał z brawurą i łatwością, ot tak sobie, jak Pytlasiński podnosi ciężary lub Reinsztein wędruje do Antwerpji Każdy człowiek przed stanowczą chwilą ożenku przez czas długi wprawiał się w trudną sztukę nieożenienia się, ale uległ — i klapa zapadła.

Jak się rzekło, ożenić się nie jest sztuką. Każdy fach, każda praca, każde przedsięwzięcie, wymaga pewnego przygotowania, próby jeneralnej, pewnego rozpędu, rozmachu. Wszystko, co robimy, poprzedza wola, dobra wola, a choćby jaki cień chęci. Tylko ożenek, a raczej, ściśle mówiąc, zaręczyny, obchodzą się bez tego wszystkiego. Nie potrzeba tu żadnego talentu, dość jest wyciągnąć rękę... bez pierścionka, a cofniesz ją w pierścionku. I tego nawet nie potrzeba. Niejeden obecny małżonek z za węgła, zdradą dostał się do szeregu narzeczonych, niejednego trzasnął piorun z jasnego nieba, i to nieba majowego. Kursuje anegdota o pewnym młodzieńcu który, obudziwszy się rano, zadał sobie pytanie:

— Niech mnie kaczka kopnie, jeżeli wiem, z którą z sześciu córek papy X. zaręczyłem się wczoraj?

Nie śmiej się, łaskawy czytelniku. Ten nieszczęśliwy wpadł na ożenek w jednym z tych pociągów błyskawicznych, które w wielu rodzinach *fin de sicle* stoją wciąż do drogi gotowe i dymem wciąż z kominów ziejące.

Tak więc ożenić się nie jest sztuka, ale być żonatym już jest sztuką, i to jedną z najtrudniejszych, jeżeli nie najtrudniejszą z pomiędzy sztuk wszelakich. Jest sztuką tem trudniejszą, iż zazwyczaj małżonkowie, oczywiście stający po raz pierwszy przed ołtarzem, są w tej sztuce zupełnymi profanami. Ledwie że zdążyli się zapoznać, a nawet można z niejaką słusznością powiedzieć, iż narzeczony i narzeczona, w okresie narzeczeństwa, zawierają z sobą ścisłą znajomość. Jeżeli komedjanctwo leży w naturze człowieka, to z pewnością najwięcej w okresie życia, który zowie się narzeczeństwem. W najlepszym razie noszą narzeczeni na swoich „duchowych obliczach" maski lekkie, bardzo lekkie, które zdejmowane bywają dopiero po ślubie a więc „post festum". Zresztą, nic w tem dziwnego. Obie strony chcą się przedstawić sobie z najprzedoskonalszej strony i w najprzeczarowniejszej postaci, uważają za stosowne, ba, nawet za konieczne, ukrywać swoje wady, a ujawniać zalety w świetle bengalskiem, magnezjowem, nawet elektrycznem, on jest trochę innym, ona trochę inna. Nie należy jednak tego przyfarbowywania się nazywać kłamstwem, dwulicowością lub polowaniem nawet na męża i żonę. Idjota chyba powie damie swego serca, czem powinien być i czem mógłby być, gdyby...

Należy dodać do tego szczegół bardzo ważny: oczy, któremi narzeczeni patrzą na siebie, są bardzo krótkowzroczne. Czarowny okres pomiędzy zaręczynami, a ślubem przypomina pod wieloma względami chwilę w życiu człowieka, który nosi ciagle okulary na nosie, i nagle wchodzi z tęgiego mrozu do dobrze ogrzanego pokoju. Szkła okularów pokrywają się mgłą i w pierwszej chwili człowiek ten nic a nic nie widzi. Powoli pod wpływem ciepłego powietrza mgła schodzi, ale gdy zejdzie — jesteś już nie aspirantem niezdycydowanym, lecz narzeczonym zdecydowanym. Żonę łacno przejrzysz na wskóś z fartuszka spalonego przy kuchni lub z paluszka pokłutego igłą. Ale bądźże tu mądrym, gdy masz przed sobą piękną pannę w balowej toalecie. To samo dotyczy mężczyzny: strach pomyśleć, ile wad może człowiek ukryć za niewielkim kwiatem gardenji, przypiętym do klapy balowego fraka. A ile wątpliwości rozprasza jeden uśmiech! Ile zwątpień rozwiewa jedna łezka w czarnem lub chabrowem oku!...
